

Zachowanie

Zasady godziwego zachowania zostały przedłożone pod rozważenie społeczeństwu hiszpańskiemu w okresie po wojnie domowej przez Kościół katolicki, i były odtąd gorliwie przestrzegane. Tak więc niewiasty nie pokazywały się na ulicy w ubiorach zbyt ciasno przylegających „do tych miejsc ciała, które wywołują u mężczyzn zgubne żądze”; niepodobna było też spotkać kobietę jeżdżącą na rowerze czy chodzącą w spodniach. Ścisły zakaz objął także taniec „nowoczesny”.

Niedoinformowani obcokrajowcy są przekonani, że tego rodzaju postawy ciągle w Hiszpanii dominują. Nieprawda! Dzisiaj niewiasty pokazują się na ulicach w ubiorach tak obcisłych, że oczy mężczyzn aż się skrzę od zgubnych żądz; zapamiętałe neofitki aerobiku pomykają żwawo na „obuptyciowych” górskich rowerach; przedstawicielki płci pięknej dzielnie paradują w dżinsach, ba! dbają pilnie, by ich jedwabista, opalona skóra była dobrze widoczna przez specjalnie sporządzone dziury w spodniach na wysokości ud, kolan i pośladków. „Nowoczesny” taniec dawno już wyparło z mody egzaltowane podrygiwanie w dyskotekowym rytmie.

Rodzina

Uprawnione jest twierdzenie, że jeśli cokolwiek wpływa zasadniczo na światopogląd życiowy Hiszpanów, a przy tym warunkuje ich radość życia, to czynnikiem tym jest rodzina. Jak już powiedzieliśmy, przeciętny Hiszpan rzadko kiedy zawraca sobie głowę planowaniem czegokolwiek; lecz jeśli już to robi, uwzględnia w swych planach członków swej rodziny, pod rygorem kompletnego zepsucia sobie całej zabawy. Jak powiada stara hiszpańska piosenka ludowa: „Aniś ty piękny, ani bogaty, lecz matkę mą kochasz — o, luby ty mój!” ...

Rodzina, dom rodzinny — to dla Hiszpana wartości istotniejsze niż materialne powodzenie; odsunięcie się od tej niszy własnego bezpieczeństwa i wygody postrzegane jest jako oz-

szy się większym szacunkiem, niż bogaty przemysłowiec, który nie ma czasu zawracać sobie głowy owym *disfrutar la vida* — czerpaniem ożywczych soków z życia, za to pokaźną część swych dochodów przeznaczają na leki mające ulżyć mu w cierpieniach związanych z wrzodami żołądka.

O ile Hiszpan zwraca na siebie uwagę, to hałasem, najczęściej w porze nocnej. O pierwszej w nocy sąsiedzi oznajmi ci za pośrednictwem stosownej ilości decybeli, że właśnie nabył sobie nowiutki sprzęt wideo albo odtwarzacz płyt kompaktowych, a dźwięki te będą przekrzykiwać się z warkotem odpowiednio „podkręconych” silników hond. Odgłosy te przy swym naturalnym natężeniu mogłyby nie stanowić dostatecznego dowodu na to, że posiadacze zwariowanej maszynierii żyją i mają się jak najlepiej.

W ogóle cisza wprowadza niepokój. Dlatego też język hiszpański nie występuje w postaci *mówionej*, a jedynie — wywrzaskiwanej. Prawidło to obowiązuje przez całą dobę, z wyjątkiem przerwy na sen w godzinach od 15⁰⁰ do 17⁰⁰.

Religia

Wbrew powszechnemu przekonaniu, Hiszpanie nie są narodem religijnym. Hiszpania od biedy może być uznana za kraj katolicki, z religijnością jednak dzisiejsi jej mieszkańcy są raczej na bakier. Uwaga ta nie dotyczy dni świątecznych, obchodzonych nadzwyczaj wystawnie i hucznie.

Świąt owych wypada po kilkanaście w ciągu miesiąca (w Wielkiej Brytanii na stałe w kalendarzu wspomina się jedynie świętych: Jerzego, Andrzeja i Patryka). Każda prowincja, miasto i wioska ma swego własnego świętego patrona, któremu poświęcony jest określony dzień, co każdorazowo stanowi jakże chwalebny sposób do hucznych świątowania.

Świętych żeńskich jest tyle samo co męskich; statuetki tych ostatnich, omal że naturalnej wielkości, obnoszone ulicami miast podczas świąt patronalnych, przyodziane są w szaty barwy brązowej, rdzawej albo „złamanej” bieli, podczas gdy

Tradycja i zwyczaje

Wieczorne przechadzki

Obyczaj przechadzania się wieczorem po mieście celem odbycia paru towarzyskich spotkań, zwany *paseo*, podobnie jak nierozłącznie z nim związany *ocio*, czyli pogawędki i pogwarki na jak najszerzą skalę, należą do prastarych obyczajów kulturowanych w Hiszpanii z niesłabnącym upodobaniem.

Przedstawiciele klasy średniej doceniają już dziś w pełni dobrodziejstwa płynące z życia poza miastem, z dala od jego hałasu i zanieczyszczeń — i rzeczywiście mogą sobie pozwolić na osiedlenie się w spokojnej, zdrowej wiejskiej okolicy. Mimo wszystko jednak ich wiecznie niezaspokojona potrzeba spotykania się ze znajomymi na ulicach miast i odbywania tam wspólnych, przyjacielskich marszrut, w czasie których można się natknąć na innych jeszcze znajomych, odbywających przyjacielskie marszruty ze swoimi znajomymi — stanowi naturalną barierę uniemożliwiającą im osiedlanie się zbyt daleko od centrów miast. Wielu zresztą, nie zasmakowawszy w „nieznośnej nudzie” sielskiego żywota, powróciło w zgiełk metropolii; w tych przypadkach dodatkową motywacją był lęk przed możliwością „niezałapania się” na najnowsze nowinki...

Hiszpańskie imiona i nazwiska

Dwuczłonowe nazwisko jest rzeczą tradycji, której należy poświęcić chwilę uwagi.

Hiszpańska męzatka nie przybiera nazwiska swego męża, pozostając przy swym nazwisku rodowym, natomiast ich dzieci przybierają *pierwsze* nazwisko ojca wraz z *pierwszym* nazwiskiem matki. Dla przykładu: *Felipe Rodríguez Fernández* żeni się z *Pilar Gómez Díaz*; ta ostatnia zachowuje nazwisko panieńskie, lecz ich córka, której nadano imię Mercedes, nazywa się *Mercedes Rodríguez Gómez*; dorósłszy, córka ta poślubi *Juana Garcíę Martíneza* (pozostając, rzecz prosta, przy swoim nazwisku), i oboje zostaną szczęśliwymi rodzicami

chłopca o imieniu Pedro, w pełnym brzmieniu: *Pedro García Rodríguez*, a także córki, której nadadzą imię Carmen: *Carmen García Rodríguez*.

W stosunkach oficjalnych funkcjonują jednak tylko owe pierwsze nazwiska (zatem Felipe Rodríguez Fernández będzie po prostu *panem Rodríguezem* (*Sr Rodríguez*). Celem uniknięcia możliwości omyłki kobieta nadmienia czasami w dokumentach nazwisko swego męża — np. *Pilar Gómez Díaz*, małżonka *Felipego Rodrígueza Fernández*, może podpisać się jako *Pilar Gómez Díaz de Rodríguez*. Po śmierci zaś nieszczęsnego Felipego owdowiała pani Pilar będzie mogła podpisywać się: *Pilar Gómez Díaz viuda de Rodríguez* (wdowa po Rodríguezie).

Nazwisk składających się na nazwiska dwuczłonowe nie łączy się między sobą myślnikiem, poza przypadkami, gdy są to „klasyczne”, spotykane i wśród innych narodowości podwójne nazwiska; wówczas dana osoba przybiera w sumie aż trzy nazwiska, np.: *Fernando González Molina-Torres* (gdzie *Molina-Torres* jest owym „klasycznym” w formie nazwiskiem podwójnym). W razie gdy oboje małżonkowie legitymują się podwójnymi nazwiskami, ich potomstwo odziedziczy łącznie aż cztery nazwiska, np.: *Javier Aguilar-Pascual López-Matías*.

Dla lepszego połapania się w tym galimatiasie nazwisk stosuje się, co również jest rzeczą tradycji, konsekwentnie ujednoliconą strategię nadawania imion, w myśl której syn nierzadko dziedziczy imię swego ojca, a córce nadaje się imię matki. W obrębie jednej rodziny można przeto mieć do czynienia z licznymi *Eduardami* i nie mniej licznymi *Margaritami*, na których, dla jeszcze większej czytelności obrazu, wolać się będzie zdrobnieniami; typowe zdrobnienia to m. in.: *Paco* (od *Francisco*), *Pepe* (*José*), *Manolo* (*Manuel*), *Quique* (*Enrique*), *Maribel* (*María Isabel*), *Provi* (*Providencia*), *Inma* (*Inmaculada*), *Remi* (*Remedios*), *Loli* (*Dolores*).

Do tego wszystkiego niemała liczba chłopców nosi imiona *José María*, dziewcząt zaś — *María José*. Mając zatem

pośród znajomych ojca i syna imieniem *José María*, a także matkę i córkę imieniem *María José*, najlepiej byłoby po prostu unikać zbyt częstego umawiania się z... no, z kimkolwiek z nich.

Wszystko to zresztą dziecięca igraszka w porównaniu z dramatem, jakim jest usiłowanie znalezieniażądanego numeru telefonu w hiszpańskiej książce telefonicznej. Numery telefonów zapisane są tu obok nazwisk szczęśliwych ich posiadaczy. Przykładowo: *Felipe Rodríguez Fernández* figurować będzie w tej książce jako *Rodríguez Fernández*, F. Ponieważ nasz bohater ma całą rzeszę krewnych o tym samym dokładnie nazwisku, w spisie znajdziemy coś z siedm setek owych *Rodríguezów Fernándezów*, F. Nie znając adresu delikwenta lepiej z góry podarować sobie wysiłek skontaktowania się z nim przez telefon (i tak zresztą bohater nasz będzie w tym czasie poza domem, na kawce ze znajomymi).

Czy wobec tego większe szczęście będzie miał ktoś, kto potrzebuje skontaktować się telefonicznie z apteką, zakładem hydraulicznym czy warsztatem samochodowym, a jednocześnie dysponuje bardziej szczegółowymi danymi adresatów (wie np., że apteka zwie się „Farmacia Pintada”, że hydraulik to w istocie spółka dwóch braci funkcjonująca pod nazwą „Hermanos Moreno”, warsztat zaś jest firmowym warsztatem „Renaulta”)? Otóż nie! Numery telefonów podobnych firm czy instytucji wymienione są przy nazwisku abonenta (osoby fizycznej), co w odnośnych przypadkach będzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa oznaczało: teściową właściciela apteki, ciotkę braci hydraulików oraz pierwotnego dzierżawcę gruntu, na którym firmowy warsztat „Renaulta” stanął był przed dziesięcioma laty.

Narodziny, ślub, pogrzeb

Za sprawą oper mydlanych pochodzenia południowoamerykańskiego, które bez reszty zawładnęły sercami hiszpańskich

mamuś, babek i prababek wydarzenia takie jak narodziny, ślub czy śmierć kogoś z członków ich rodziny, stanowiące zazwyczaj pożądane urozmaicenie nudy codziennego bytowania, zatraciły charakter wydarzeń znaczących i wyjątkowych. Potrzeba intymnych spotkań w rodzinnym gronie jest stopniowo wypierana przez potrzebę dostarczenia sobie wieczorem wrażeń towarzyszących śledzeniu z wypiekami na twarzy na srebrnym ekranie perypetii jakiejś Manueli i bratanicy jej przyrodniej siostry, które właśnie zaszły w ciążę za sprawą pewnego splukanego do cna, ale bardzo przystojnego *macho*... Nie zmienia to faktu, że Hiszpanie nie przestają tradycyjnie wydawać mnóstwa pieniędzy na ciuszki, zabawki, dziecięce wózki i łóżeczka dla nowo narodzonych członków swych rodzin, nie wspominając już fortun pompowanych w wystawne wesela córek, albo przeznaczanych na nie mniej wystawne trumny dla ukochanych zmarłych.

Jeśli szukać jakichś cech specyficznych dla hiszpańskich porodów, to może należałoby wskazać tę, że brzemienna Hiszpanka zazwyczaj wybiera się na oddział porodowy „o dwunastej” (nie „za pięć dwunasta”). Niewiasty tamtejsze zwykły lekceważyć pierwsze symptomy bólów porodowych, co wynika z pragnienia odsunięcia od siebie na jak najpóźniejszą chwilę czekającej je dość wątpliwej przyjemności. Jest więc czymś zwyczajnym, że noworodek ogląda z zaciekawieniem nocne światła wielkiego miasta zmierzając w niebywałym pędzie samochodem swych rodziców (bądź taksówką) ku ostremu dyżurowi „porodówki”. Jeżeli natomiast, co też się zdarza, ojciec popija kawusie gaworząc beztrudnie z taksówkarzem, mamusia zmuszona jest odbyć tę drogę — autobusem.

Uroczystości rodzinne obchodzi się w Hiszpanii dwukrotnie w ciągu roku: w rzeczywistość rocznicę narodzin sołnizanta oraz w dzień jego święta patronalnego, jako że do wyjątków należą obywatele tego kraju nie ochrzczeni imieniem jakiegoś świętego. W ten sposób rodzice zyskują aż dwukrotną okazję do pospraszania na *fiestę* wszelkiej maści

dziadków, wujostwa, kuzynów pierwszej, drugiej i dziesiątej wody po kisielu.

Śluby wyprawia się w Hiszpanii w sposób typowy dla całego kręgu cywilizacji chrześcijańskiej, przy czym o wiele większą wagą niż sama ceremonia religijnego obrzędu cieszą się tam: suknia panny młodej i wujcio z kamerą wideo kręcący się wokół ołtarza. Wszędzie płaczą się też drużny i druhowie, konfetti i ryż sypią się wokół bez opamiętania, gdy tymczasem panna młoda rzuca za siebie przez ramię bukiet, który ma wskazać następną ofiarę.

Dla odmiany, pogrzeby w Hiszpanii nie mają uroczystego charakteru i trwają bardzo krótko.

Zwłoki osoby zmarłej można umieścić w chłodni, ale jeśli nie ma takiej możliwości należy je pogrzebać w ciągu 72 godzin. Nie jest to jednak pochówek *sensu stricto*, a raczej umieszczenie trumien w niszach (w kraju granitowych skał tradycyjny fach grabarza byłby raczej bezużyteczny) obmurowanych warstwą cegieł związanych cementem. Owych nisz nie wykupuje się na własność, lecz dzierżawi od lokalnych władz, w których gestii znajduje się cmentarz. Jeśli rodzina nieobszczyka zalega z opłatami przewidzianymi w umowie o dzierżawę, jego szczątki zostają przeniesione do znajdującego się w obrębie obszaru poświęconej ziemi wspólnego grobowca, a zwolnione w ten sposób miejsce obejmuje nowy rezydent, którego rodzinę stać będzie na zapłacenie „komornego”.

Obyczaj noszenia przez kobiety żałobnych ubiorów wychodzi dzisiaj z mody. Dawniej musiały one nosić żałobę po zmarłym ojcu czy bracie całymi latami; jeśli miały nie-szczęście, że odumierali je kolejno mąż, ojciec i brat, musiały chodzić w czerni do końca swoich dni. Dziś nikogo nie zaskakuje widok wesolej wdówki w miesiąc lub dwa po utracie swego lubego pomykającej dziarsko w jaskrawym sportowym wdzianku na kolejne zajęcia z aerobiku. Nie należy jednak na tej podstawie posądzać współczesnych hiszpańskich wdów o kompletny zanik uczuć; chodzi o chęć

jak najszybszego ponownego włączenia się w wir życia, gdyż żałoba do przyjemności nie należy.

Rozwody

Począwszy od roku 1980 uzyskanie rozwodu jest w Hiszpanii rzeczą nieskomplikowaną: za obopólną zgodą bez problemu uzyskuje się rozwód po upływie dwóch lat. Jeśli natomiast jedna ze stron się zbuntuje, druga musi wykonać okrucieństwo, opuścić dom rodzinny albo też popełnić cudzołóstwo, w następstwie czego zostaje orzeczona separacja z możliwością uzyskania rozwodu po upływie lat pięciu.

Jeśli więc mąż pragnie pozbyć się żony-zrzędy, która jednak wisi mu uporczywie u rękawa, musi ją pobić, a następnie spakować manatki i powrócić do mamusi. Żona, chcąc opuścić swego tępawego, niesamodzielnego fałtłapę, winna przyfalesolić mu w najbardziej czułe miejsce, spakować kłamoty i odejść w siną dal z mleczarzem. Uwaga: z tą ostatnią operacją może jednak być niejaki kłopot, gdyż w Hiszpanii nie ma instytucji roznościeli mleka; uczniowie też nie roznoszą gazet, więc nie ma co szukać w ten sposób młodego kochanka. Jedyna szansa to człeczyna ostrzący noże — ten zjawia się na swym bicyklu w okolicy regularnie w każdy czwartek w godzinach rannych.

Kultura

Hiszpanie szanują kulturę. Dużym poważaniem cieszą się u nich ludzie objawiający pragnienie wzbogacania swej wiedzy, jak i ci, którzy chętnie demonstrują swe odczytanie i intelektualną ogładę. W cenie są, w przeciwieństwie do niektórych innych krajów, kobiety intelektualistki.

Chcąc zyskać przyzwoitą pozycję w hiszpańskim kręgu towarzyskim, należy „obkuć się” tego i owego z dziedziny dziejów hiszpańskich sztuk pięknych, bowiem każdy Hiszpan ze śladową choćby ilością polotu, rychło zdemaskuje igno-

rancję w tym zakresie. Nie oznacza to, że należy umieć recytować na zawołanie poezje Aleixandrego, Albertiego, Cernudy, Diega, Guillena czy Garcíi Lorki, choć z pewnością tego rodzaju biegłość bardzo by owemu towarzystwu pochlebila. Większe znaczenie będzie tu jednak miało wyrobione własne zdanie na temat ich dzieł.

Najczęściej cytowanym poematem spośród dzieł hiszpańskojęzycznych jest najpewniej *La cogida y la muerte* (dosł.: „Wzięcie na rogi i śmierć”) Federica Garcíi Lorki. Poeta ten zginął podczas wojny domowej, zastrzelony przez nacjonalistów, którym nie w smak było jego romantyczne piękno-duchostwo. *La cogida...* jest lamentem napisanym w związku ze śmiercią toreadora Ignacia Sáncheza Mejías; utwór stanowi poetycką ekspresję idei chwalebnej śmierci, pojęcia niebywale istotnego dla hiszpańskiego ducha (przekład polski Włodzimierza Słobodnika):

Zegar wydzwonił piątą po południu.
Była dokładnie piątą po południu.
Chłopiec przyniósł czyste prześcieradło.
O piątej po południu.
I kosz ze świeżym wapnem.
O piątej po południu.
A nad wszystkim tym — śmierć, tylko śmierć.
O piątej po południu. (...)

Do powyższej zacytowanego fragmentu dochodzi jeszcze 40 wersetów, przy czym w co drugim powtarza się refren „O piątej po południu”. W dalszej części poematu następuje taki m. in. fragment:

(...) I biodro było przeszyte rogiem (...)
A serce byka tak wściekle waliło (...)
I stała się arena bardziej żółta niż jodyna (...)
Gangrena utkała żalobny jedwab (...)
Trąby irysów całe w zieleni (...)

Innym spośród najczęściej przywoływanych poetyckich utworów jest wiersz, a raczej rymowanka, jaką za dyktatury Franco półgłosem wyśpiewywała szkolna dziatwa, podkładając ją pod melodię hiszpańskiego hymnu państwowego:

Franco, Franco —
Ale dupcia biała!
Bo mu ją żoneczka
W „Arielu” wyprała...

Cała reszta hiszpańskiej kultury zawiera się pomiędzy tymi dwiema opcjami, których źródła należy doszukiwać się w tkwiących u jej zarania obłąkańczych wyczynach błędnego rycerza o smętnym obliczu i jego wieśniaczego pomagiera — to jest Don Kichota i Sancha Pansy, opisanych w powieści Cervantesa, która nic nie straciła na swej atrakcyjności mimo wpływu blisko czterech stuleci.

Wiedzieć o tym, że Cervantes i Pérez Galdós są najślynniejszymi autorami w historii hiszpańskiej literatury; że Velázquez, Goya, Dalí, Miró i Picasso są w pierwszym szeregu przedstawicieli sztuki pięknych; że de Falla, Granados i Rodrigo należą do najwybitniejszych hiszpańskich kompozytorów; wreszcie, że Calderón de la Barca, Agustín Moreto y Cavaña, Tirso de Molina i Lope de Vega są przedstawicielami „złotego wieku” hiszpańskiego teatru — to wiedzieć stanowczo za mało. Z takim poziomem wiedzy małe dzieci opuszczają mury szkolne. Dzisiaj rodzima i światowa elita inteligentcka rozważa na przykład: którzy powieściopisarze osiągnęli w swych dziełach wyższy stopień realizmu społecznego — czy przedstawiciele epoki frankistowskiej, jak Max Aub, Pío Baroja, Torrente Ballester, Camilo José Cela, Miguel Delibes czy Luis Martín Santos, czy też pisarze pofrankistowscy, jak Juan Benet, Rosa Chacel, Antonio Gala, Muñoz Molina, Manuel Vázquez Montalbán lub Terenci Moix? Albo też: czy filmy takich twórców jak Almodóvar, Arillán, Berlanga, Buñuel, Camus, Vicente Erice, Pilar Miró, Carlos Saura cieszą się w Hiszpanii zainteresowaniem większym niż filmy zagraniczne dlatego, że te ostatnie rzadko pokazuje się w orygi-

nalnej wersji językowej (obyczaj ten wywodzi się z czasów rządów gen. Franco, który zarządził dubbingowanie wszystkich filmów zagranicznych w celu ułatwienia pracy cenzorom)?

Interesującym zjawiskiem w dziedzinie stosunków anglijsko-hiszpańskich, często wywołującym u Hiszpanów reakcje zarówno rozbawienia, jak skonfundowania, jest fakt, że Anglicy — naród, wiadomo, nie mówiący językami obcymi — czytują autorów angielskich piszących o Hiszpanii, podczas gdy Hiszpanie, chcąc wzbogacić swą wiedzę o Anglikach, czytują autorów *angielskich*... W domach ludzi wykształconych zazwyczaj znajdziemy zbiór dramatów Shakespeare’a obok, na przykład, woluminów powieści Dickensa, dzieł Oskara Wilde’a, Somerset Maughama, czy też D.H. Lawrence’a. W posiadaniu Anglików natomiast znajduje się ekstrakt informacji na temat hiszpańskiego charakteru i ducha, wydestylowany z przekazów autorów takich jak Robert Graves, George Orwell czy Gerald Brenan, a nawet Ernest Hemingway; wszyscy oni pozapozyczali się u podróżnika nazwiskiem George Borrow (nazwisko to można tłumaczyć jako „Jerzy Pożyczka” — przyp. tłum.), który z kolei zaciągnął dług wdzięczności u autora Richard Ford...

Hiszpanie mają prawo pytać: w ilu angielskich domowych bibliotekach znalazłoby się choćby jedno dzieło autorstwa Benita Péreza Galdósa, czy chociażby noblisty Camila Joségo Celi?...

Prasa

10 miliona Hiszpanów kupuje dziennik poświęcony piłce nożnej, ale ogólnie rzecz biorąc Hiszpanie nie zaliczają się do najbardziej czytelników prasy. Nakład najpoczytniejszych tytułów gazetowych nie przekracza 400 000; tytułami tymi są: *El País*, *El Mundo*, *ABC* i *La Vanguardia*. Hiszpanie nie odradzają potrzeby czytania brukowców żerujących na nudach prywatnego życia rodziny królewskiej albo niecnym postępkach wiejskich proboszczów.

Istnieje wszakże niemało periodyków, które wśród poważnych artykułów o treściach politycznych zamieszczają wkładki

ilustrowane z gołymi panienkami; jak bowiem wiadomo, poważni biznesmeni lubią dyskretnie pofolgować swoim upodobaniom w chwilach wytchnienia, przy kawce.

Pieśni i tańce

Olbryzim poważaniem cieszy się wśród Hiszpanów *cante jondo* (dosł. „śpiew głęboki” — przyp. tłum.), którego tradycja sięga co najmniej czterech stuleci; koneserzy tego gatunku śpiewu odniosą się wrogo do każdego, kto będzie głosił, że „też by tak potrafił” (bo któż nie umie „fałszować“?), lub kto będzie twierdził, że cała filozofia polega tu na trzymaniu jednego tonu w nieskończoność. Istotnie, jest to śpiew atonalny, którego zasadą jest nieskończenie długie „trzymanie” dźwięku jednej (nieokreślonej) wysokości, lecz przez ten czas słuchacz ma okazję dowiedzieć się o sprawach pięknych i strasznych, wzniosłych i podłych — miłości, smutku, cierpieniu, godności, oszustwach, śmierci, złamanych sercach, nieszczęściach, rozpacz, bólu, żalu, samotności, katorżniczym trudzie, oplakiwaniu śmierci najbliższych, trwodze, miotaniu na kogoś kalumni, katastrofach, apopleksji, dewaluacji pesety, kłopotach z teściową i pierwszym siwym włosie.

Jeśli Hiszpanie nie śpiewają akurat namiętnie, to namiętnie tańczą.

Tańczą *sevillanę*, taniec o skomplikowanej rytmice, lecz bardzo wdzięczny, osnuty na motywie perypetii uczuciowych legendarnych krewkich małżonków z Sewilli; tańczący (ściślej: ich usta) już to spotykają się, już to się rozchodzą, a wszystko to przy akompaniamencie głośniego przytupywania i spojrzeń z gatunku „zabijania wzrokiem”.

Tańczą *flamenco* — jakby *sevillanę* rozkręconą do granic możliwości, gdzie mężczyźni i kobiety pędzą na osłep, jedno przez drugie, postukując wysokimi obcasami — ku śmierci.

Tańczą *lotę*, wesołe podrygi, podrzuty i podskoki — taniec przypominający ludowy angielski *morris dance* z tancerzami

• w różnych strojach z legendy o Robin Hoodzie, z tą różnicą, że nie kłiwów, dzwonków i słomkowych kapeluszy.

• Tańczą katalońską, wpędzającą w obsesję, lecz osnutą na nieodwrotnie powtarzających się motywach kołową *sardanę*.

• Tańczą wreszcie andaluzyjskie *fandango*, bardziej energicznie odmianę *sardany*, całą łomocącą od przytupywania i udegnięć kastanietów.

Hiszpańska odmiana rocka

Hiszpańska młodzież wielkowiejska nie ma aż takich frustracji, nie agresja miała znajdować ujście w prymitywnych formach muzyki rockowej. Jednak na gruncie szalonego, przenikliwego śmiechu towarzyszącego tańcom flamenco, wzmocnionego ustawicznym, rytmicznym klaskaniem w dłoń, wykształcił się własny gatunek rocka, z którym nie sposób już się nie liczyć — to *rocki-raíces*, tzw. rock „korzenny”, który w ogromnej mierze zaspokaja hiszpańskie pragnienie muzycznego wigoru. Wspomnianą odmianę rocka można zatem usłyszeć — w rozmaitych i niesłowno wersjach, lecz niezmiennie graną bardzo głośno — na wszelkiego rodzaju *fiestach*. Jej dźwiękom towarzyszy obywatelski pokaz tańców ludowych; ta manifestacja narodowej kultury jest gorąco propagowana przez wiejskie samorządy — nie ostatnim bowiem bez trudu udaje się nakłonić grupkę miejscowej ludności do wycięcia paru hołubców po kosztach nie większych niż cena beczułki wina.

Czas wolny i rozrywki

Wakacje

Recepta przeciętnej hiszpańskiej rodziny na wakacyjny wypoczynek jest nieskomplikowany: pójść na plażę z nastaniem południa ze wszystkimi możliwymi rekwizytami i zostać tam do zachodu słońca. Do nieodzownych rekwizytów należą wysłone kodecylbelowe magnetofony, z których dźwiękami mieszają

się wrzaski urlopowiczów i ich dzieci; wszystko to ma na pokazanie, że się dobrze bawią. Z przyborów-niezbędników wymieńmy jeszcze przenośne ruszty, na których członkowie rodziny będą przypiekać ogromniste pilawy walencjańskie (hiszp.: *paella*), jak również olbrzymie namioty, mające stanowić przytulną przystań dla dwudziesto- i więcej-osobowej rodziny na wypadek ataku niszczycielskiego żywiołu: sztormu. Żywiołowi jednak jakoś rzadko kiedy chce się atakować.

Biwakowanie jest na wielu plażach zabronione, ale wszyscy gwiżdżą na zakazy — wszyscy, z wyjątkiem tych dziwaków obcokrajowców, którym wydaje się, że tylko oni mają prawo do całej plaży. Dziwaków tych poskramia się jednak rutynowo: zostają wciągnięci do towarzystwa, upojeni trunkami i w efekcie sami zaczynają po pewnym czasie robić więcej hałasu, niż cała kompania miejscowych.

Hiszpanie nie gardzą też zagranicznymi wyjazdami wakacyjnymi; stosunkowo tanie wczasy zorganizowane pozwalają poznać smak wojaży po obcych kontynentach. Pewna kioska w Granady, sprzedająca w budce słodczyce i plastikowe zabaweczki, którą już to mrozą na kość zimowe wichry, już to rozpala do czerwoności żar letniego słońca, stwierdza po powrocie z dwutygodniowej podróży po Amazonii: „Doprawdy, warto podusić się w tej klatce cały rok, aby móc raz do roku wyfrunąć w świat niczym gołębicą...”

Święta

Wszystkie dni w hiszpańskim kalendarzu mają swoich świętych patronów, więc uświetnianie dni-wspomnień świętych — Salustiusza, Bonawentury, Saturnina, Obdulii, Bibianny, Aurelii... — jakąś *fiestą*, w tym czy owym rejonie kraju, jest tam codziennością. Zkręcone szaleństwo suto zakrapianej zabawy z trudem da się wyhamować; jeśli zdarzy się, że wioska, w której odbywa się festyn, leży na przecięciu arterii wiodących do paru większych miast, to życie w tych miastach też zostanie sparaliżowane.

Ponieważ nikt nigdy na dobrą sprawę nie pamięta, kiedy jakie święto przypada, na wszelki wypadek najlepiej jest zarezerwować sobie czas na huczne świętowanie w przedziale od pierwszego sierpnia roku bieżącego do trzydziestego pierwszego lipca roku następnego.

Walki byków

Istnieje potoczne przekonanie o rzekomym nadzwyczajnym kruciestwie Hiszpanów w stosunku do zwierząt. Można co prawda ujrzeć od czasu do czasu hiszpańskiego chłopca ciskającego kamieniami w psa-przybłądę, który zabłąkał się akurat na jego plantację awokado; jednak w stosunku do swej własnej psiny ten sam chłop będzie zachowywał się zupełnie inaczej. Oczywiście reputację barbarzyńców zawdzięczają Hiszpanie *corridzie*. Dla nich samej ta narodowa pasja nie stanowi najmniejszego przedmiotu wstydu, przeciwnie, traktują ją jako prawo naturalne. A już na pewno walki byków są kompletnym przeciwieństwem tak ulubionej przez Anglików sportowej rozrywki, jaką jest szczonej wścieklej sfory chartów na Boga ducha winne lisy, przy czym „Angole” siedzą sobie bezpiecznie na koniu, *corrida* zaś jest zmaganiem na śmierć i życie z potężnym, groźnym zwierzem, gdzie odważny człowiek nie dysponuje nawet odpowiednio skuteczną białą bronią.

Corrida jest traktowana jako sztuka; piszący zaś o walkach byków dziennikarze nie są sprawozdawcami sportowymi, lecz krytykami sztuki. Ich artykuły ukazują się na kolumnach kulturalno-artystycznych. „*Corrida* — to rytuał, w którym w nierozważnym i pełnym szczęścia splocie współistnieją dwie wartości — wielkie nieobecne zachodniej cywilizacji: heroizm i piękno” — to słowa Kennetha Tynana, cieszącego się dużym autorytetem brytyjskiego krytyka teatralnego.

Z opinią tą jednak nie mógłby się zgodzić admirał Nelson; gdy miał sposobność ujrzeć walkę byków wkrótce przed bitwą pod Trafalgarem, skwitował swe wrażenia stwierdzeniem, że nadzianie dwóch toreadorów na rogi, którego był świad-

dkiem, było sprawiedliwym wyrokiem losu; miał się też wyrazić, iż nie byłby niepokieszony, gdyby podobny akt wyrównania rachunków dosięgnął był także i żądną krwi publiczność...

Z kolei spektaklami walk byków głęboko poruszony był Alexandre Dumas — ojciec „Czterech muszkietarów”: „Jakoś nie dane mi było odczuć nawet cienia odrazy, jaką mi przepowiedano. — wyznał — Ja, który nie mogę patrzeć, jak kucharz ubija kurczaka na obiad, po prostu nie mogłem oderwać oczu od byka, co to krwawo rozprawił się z trójką koni i zdołał jeszcze poważnie poturbować człowieka”...

W ogólnokrajowym sondażu prasowym wykazano, że 87% ludności Hiszpanii nie wyraża zainteresowania walką byków. Tymczasem corrida pokazuje się w telewizji regularnie trzy-cztery razy w tygodniu, w porze największej oglądalności. Programy te finansowane są przez reklamodawców, którzy nie inwestowałyby w nie, gdyby nie mieli widzów; areny są niezmiennie wypełnione ludźmi, bilet zaś na dobrą walkę kosztuje więcej niż bilet na dużego kalibru mecz piłkarski.

Udając się na widowisko corrida należy wziąć ze sobą: białą chusteczkę oraz okulary przeciwsłoneczne (bardzo ciemne).

Chusteczka posłuży do wymachiwania wraz z rozentuzjowanym tłumem, którego wiwaty są wyrazem hołdu dla zabitych, a jednocześnie dopingują matadora, walczącego dzielnie o wymarzoną nagrodę: bycze ucho, dwoje uszu albo ogon. Owe „dodatki specjalne” przyznaje oficjel sprawujący formalną pieczę nad walką. Zazwyczaj jest to jakiś polityczny dygnitarz albo miejscowy burmistrz — a liczba „dodatków” zależy od wielkości wzburzonej fali białych chusteczek, jaka roztoczy się na trybunach przed jego oczyma. Wówczas bardzo przydadzą się, zwłaszcza co wrażliwyszemu widzom, rzeczony ciemne okulary, które będą skuteczną osłoną przed widowiskiem odrywania uszu bądź ogona od byczych zwłok.

Należy mieć na uwadze, że byk, tresowany przez całe swoje życie na potencjalnego zabójcę człowieka, z niecierpliwością oczekuje chwili, gdy będzie mógł zatopić swe rogi

w pośladkach człekokształtnego stwora, który ośmiela się paradować przed nim w jaskrawym kostiumie, wyzywająco wymachując czerwoną płachtą. Każdy byk ma prawo uniknąć śmierci, rezygnując z walki — na co zresztą wiele byków się decyduje.

Istnieje opinia, że większość byków traktuje śmierć jako wybawienie z ogłuszającego łomotu pasodobli wygrywanych zawzięcie i nieprzerwanie podczas walki przez miejscową orkiestrę dętą. Jednak w materii corrida winniśmy oddać ostatnie słowo Hemingwayowi, samozwańcemu wszechświatowemu pierwszemu koneserowi tego gatunku sztuki: „Walk byków nie wymyślono dla obcokrajowców ani turystów. Gdyby Hiszpanie podjęli jakiegokolwiek kroki celem pozyskania ich przychylności, byłaby to przygrywka do całkowitego zakazania corrida”. A Hiszpanie żadnego zakazywania nie lubią.

Między ogniskiem a rusztem

Legendarny wręcz hiszpański kult ognia (i hałasu) sprawia, że pirotechnika stanowi wielce intratne zajęcie — pod warunkiem, oczywiście, że potrafi się żyć pod nieustanną presją lęku. Podczas dorocznych obchodów *fallas* (święta ognisk) w Walencji odpala się około 76 000 kg substancji wybuchowych, co nie może, jak powiadają wtajemniczeni, ujść na sucho. Przez okragły rok *falleros*, owi pirotechnicy od sztucznych ogni, pracują nad konstruowaniem kukiel z *papier maché*, symbolizujących główne postaci życia publicznego minionych dwunastu miesięcy, tylko po to, by z tych gigantycznych chwościołów niejednokrotnie trzypiętrowej wysokości zrobić użytek w dniu święta, czyli dźwignąć je do pozycji pionowej, a następnie — spopielić.

Naturalnie, wciąż dochodzi tam do wypadków, ludzie odnoszą obrażenia, lecz jest to wliczone w ryzyko zabawy. Jakieś pojęcie o tym daje specjalna forma „ogniowej” rozrywki, zwana *corda*, praktykowana w miasteczku Paterna, na którego głównej ulicy gęsty tłum ludzi, w wielowarstwowej odzieży,

w siateczkowych maskach na twarzach i grubym obuwiu odpala 35 000 rac w ciągu 25 minut!

W wigilię św. Jana (*San Juan*) na całym wybrzeżu Hiszpanii zapala się ogniska, a na plażach skwierczą i prychają ruszty. Tymczasem w Kadyksie utrwała się tradycja bicia rekordów wielkości takiej fety z rożnem — ostatnio naliczono dwa tysiące rusztów skwierczących równocześnie w miejscu, gdzie zazwyczaj przysmażają się *señority* w strojach toplless.

Za kierownicą

Prowadzenie samochodu jest w Hiszpanii ryzykowne. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest ta, że mieszkańcy tego kraju zasiadają „za kółkiem” z tym samym budzącym grozę entuzjazmem, jaki objawia sześciolatek dosiadający po raz pierwszy w życiu samochodzika elektrycznego w wesołym miasteczku.

Za czasów generała Franco niezbyt wiele rodzin miało własne auto. W dużych miastach ludzie korzystali ze środków komunikacji publicznej albo chodzili na piechotę; we wsiach jeżdżono na mułach bądź konnymi wozami. W późniejszych latach muły zastąpiono motorowerami; rozwinął się też przemysł samochodowy i w krótkim czasie niemal wszyscy mogli sobie pozwolić na zakup furgonu bądź wyższej klasy samochodu osobowego. Sześćdziesięciolatekowie, którzy nigdy w życiu nie prowadzili żadnego pojazdu, nagle zaczęli pomykać drogami mercedesami czy audi, ich zaś dzieci i wnukowie dosiedli renaultów z silnikiem turbo, zaopatrzonych w głośniki wywrzaskujące najnowsze przeboje.

Kraj rychło pokryła zatem gęsta sieć autostrad (główne z nich to zaiste rozkosz dla kierowcy), świeżo zaś upieczonym automobilistom tak pilno było do przemierzania nimi kraju wzdłuż i wszerz, że mało kto postarał się o zdobycie dokumentów uprawniających do prowadzenia samochodu, nie wspominając o zdaniu egzaminu z jazdy czy opłaceniu ubezpieczenia. Można domniemywać, że w małych miasteczkach i wsiach, gdzie kontrola policyjna nie jest tak surowa jak w miastach,

tylko połowa zmotoryzowanych jest formalnie uprawniona do prowadzenia pojazdów.

Podczas ważniejszych świąt, kiedy to gromady mieszkańców jednych miasteczek gnają swymi wehikułami w odwiedzinę do innych miasteczek, liczba śmiertelnych ofiar wypadków drogowych jest zatrważająca. Najbardziej narażeni na szkody są turyści z północnych obszarów Europy — tym bowiem, zdyscyplinowanym i przestrzegającym przepisów, w głowie nie może się pomieścić, że przepisy drogowe w ogóle można „obchodzić” po prostu ich nie znając, bądź kompletnie dekoncentrując się za kierownicą... Listę obcokrajowców stających się ofiarami wypadków otwierają Niemcy i Francuzi; jedni i drudzy błędnie zakładają, że inni kierowcy zechcą reagować na zapalenie się czerwonego światła, albo skrócić w lewo, o ile uprzednio sygnalizowali to kierunkowskazem. Bardziej z natury rozsądni Brytyjczycy roztropniej ważą różne warianty zachowania się współużytkowników drogi, dzięki czemu rzadziej ulegają wypadkom.

Linia biegnąca pośrodku drogi oznaczająca zakaz wyprzedzania nie stanowi żadnej rękoi, że nie przekroczy jej dwudziestu schizoidalnych facetów, którzy chcą udowodnić, że ich seat panda może „dać czadu” nie gorzej niż ten lamborghini ze szwajcarską rejestracją, który „wziął” cię był przed chwileczką, poważnie przekraczając obowiązujące ograniczenia prędkości.

Pasy na przejściach dla pieszych mają stanowić nie tyle ułatwienie życia ogółowi pieszych, ile oznakę, że miejscowe władze samorządowe zdają sobie sprawę z faktu, że osoby starsze mogą czasem mieć ochotę przedostać się na drugą stronę jezdni, w związku z czym włożyły one (władze) pewien wysiłek w uświadomienie zmotoryzowanemu istnieniu takich przagnień. Pasy oznaczają w praktyce miejsca, w których piesi mogą się ustawić, kornie czekając, aż kierowcy łaskawie pozwolą im przejść przez jezdnię. Dlatego żaden pozostający przy zdrowych zmysłach Hiszpan nie próbuje nawet korzystać z tego przywileju, nauczony doświadczeniem, że wszelkie ofi-

cialne znaki i symbole drogowe wywołują w siedzących za kierownicą bezwarunkowy odruch *niestosowania się* do nich.

Hiszpańskim pieszym też zresztą należy „oddać sprawiedliwość”: stanowią oni dla kierowców zagrożenie w podobnym stopniu, jak kierowcy dla nich. Wynika to z zakorzenionej w hiszpańskiej mentalności powszechnej pogardy dla grożącego niebezpieczeństwa. Stawiając stopę na jezdni, hiszpański obywatel — płci obojej, dziecię czy starzec — w naciągającym Peugeotie 204 niechybnie dostrzeże nacierającego nań rozjuszonego byka. Ze zręcznością wytrenowanego toreadora rzuci się tedy wprost pod koła wozu (rogi byka) i kręcąc młynki jak wpadły w trans *banderillero* (toreador wbijający w byka *banderille*, czyli specjalne grotty) przedostanie się bez szwanku na drugi brzeg areny, kompletnie nieświadom, że spowodował(a) przy tym serię czolowych zderzeń.

Kiedy wszedł w życie nakaz zapinania pasów bezpieczeństwa w samochodach i zakładania kasków dla jeżdżących jednośladami, przez pierwsze dwa tygodnie można było do woli naobserwować się kierowców, którzy wskoczywszy do wozu z impetem zatrzaskiwali pasy na piersiach i biodrach, i motocyklistów snobistycznie obwozących na głowach nowe, polyskliwe hełmy. Nowy nakaz dał im okazję do przedniej rozrywki. Jednak pasy stały się wkrótce bardzo uciążliwe, szczególnie po dobrej kawie z pączusiem, kaski zaś stały się przyczyną przedziwnych nieporozumień. Ten i ów Paco spostrzegł z niedowierzaniem, że nawet własna mamusia go nie rozpoznaje, gdy przemyka koło domu na swej vespie, a kumple przestali go pozdrawiać machając ręką. Zdarzały się też rzeczy gorsze; bywało, że kumple poniewczasie rozpoznawali dzielnego Paco i wołali za nim, aby wrócił, by mogli wymienić powitalne grzeczności, lecz nasz pechowiec wgniatał się wówczas swą vespą w tylny zderzak samochodu, który gwałtownie stanął dęba akurat tuż przed nim, ratując dwunastoletniego matadora od niechybnej śmierci. Mało tego: Soledad, właścicielka szalonego kasku o różowawej barwie w odcieniu kwiatu hibiskusa, postanowiła zamienić się na kaski z Concepción, posiadaczka

kasku niebieskiego w odcieniu kwiatu lawendy, gdyż w poprzednim układzie kaski nie współgrały kolorystycznie z wdziankami wspomnianych cyklistek. Teraz wszyscy zaczepiali w czasie jazdy nie te dziewczyny, co trzeba, co powodowało jeszcze większe zamieszanie i powiększało liczbę wypadków.

Znaleziono jednak na to wszystko cudowny środek zaradczy: dziś nikt już nie zawraca sobie głowy zapinaniem pasa czy przywdziewaniem kasku. Po prostu użytkowników pojazdów dawno przestało to bawić.

Podsumowując: jeśli chcecie przeżyć w Hiszpanii za kierownicą, zapomnijcie o przepisach ruchu drogowego, zdajcie się natomiast całkowicie na swój instynkt samozachowawczy i odruchy bezwarunkowe. I rada dla pieszych: najlepiej nigdzie nie chodźcie pieszo.

Radio i telewizja

Hiszpania plasuje się na drugim, po Wielkiej Brytanii, miejscu w Europie pod względem tzw. oglądalności programów telewizyjnych. Poza nielicznymi wyjątkami, telewizor stoi w każdym domu. Nawet mieszkańcy tak gorącej, szczególnie latem, krainy jak Andaluzja decydują się w pierwszym rzędzie na zakup telewizora, a dopiero potem lodówki. Dużo więcej przyjemności dostarcza oglądanie pierwszego z tych urządzeń.

Hiszpańska telewizja oferuje swym abonentom dziewięć programów, ale do większości rejonów kraju dociera transmisja ledwie pięciu z nich. Hiszpańskie wersje wszelkich amerykańskich quizów, teleturniejów i talk showów są najpopularniejszymi programami.

Telewizyjne wiadomości, dotyczące wydarzeń zarówno z kraju, jak z zagranicy, obejmują bardzo szeroki wachlarz zagadnień, łącznie z informacjami z dziedziny kultury (np. na temat przedstawień operowych czy baletowych). Spikerzy obojga płci są przystojni i tryskają optymizmem nawet wówczas, gdy serwują informacje nie zaliczające się do wesółych.

Opery mydlane pochodzenia północno- i południowoamerykańskiego, zwane tutaj swojsko *culebrones* (w wolnym tłumaczeniu: tasiemcie), wypełniające antenowy czas pospołu z komedijkami produkcji USA, brytyjskiej i rodzimej, przerywane są regularnie nieprzeliczonymi reklamami nowości rynku motoryzacyjnego, które zachwalają szybkość i moc pojazdów i dają widzowi przedsmak uczuć, jakich doświadczy siedząc za kółkiem.

Erotyka w żadnym wypadku nie stanowi tematu tabu w hiszpańskich mediach, toteż, przy braku ideologicznej czy obyczajowej cenzury, spółkujące pary można oglądać na srebrnym ekranie w każdym pasmie oglądalności, dniem i nocą. Rezultat jest taki, że młodzi widzowie reagują na „momenty” ziewaniem, podczas gdy ich rodzice wzmacniają wtedy dźwięk, by tym głębiej rozsmakowywać się w odgłosach lubieżnej rozkoszy płynących z ekranu.

Programy telewizyjne są naturalnie publikowane w codziennej prasie, acz nie wszystkie gazety zapowiadają na daną godzinę dokładnie te same pozycje programu, co ulega niejednokrotnie większemu jeszcze skomplikowaniu, gdy okaże się, że o danej porze na ekranie „leci” jeszcze co innego. Wiadomości wieczorne, na przykład, zapowiadane są regularnie na godzinę 22⁰⁰, co jednak nie oznacza, że będą o tej akurat godzinie wyemitowane: spikerzy pojawiają się „w okienku” raz pięć, innym razem dziesięć minut, a nawet — kwadrans po przewidzianym czasie, w zależności od tego, jak długa była opowieść, którą roztaczał przed ich uszami znajomy w telewizyjnym bufecie. Inne programy pokazuje się z opóźnieniem nawet i godzinnym, bez żadnych przeprosin czy wyjaśnień, jeszcze inne nie pojawiają się na antenie w ogóle. W ten sposób telewizyjni decydenci powodują, że trzy miliony rozsianych po całym kraju widzów jednocześnie z rozczarowaniem wzdrużają ramionami.

Hiszpańskie radio oferuje natomiast przez cały Boży dzień dużo gwałtownej a perlistej gadaniny przeplatanej wspomnianym wcześniej rockiem „korzennym”; dotyczy to zarówno rozgłośni madryckich, jak i lokalnych. Po rozgłoszeniach tych nie

można oczekiwać choćby godziny nadawania jakiejś odprężającej muzyki, nawet podczas sjesty, kiedy to radiowi dyskdżokeje przedstawiają swój sprzęt na odtwarzanie automatyczne, a sami, wetknięwszy do uszu zatyczki, pogrążają się w błogim śnie.

Seks

Wśród Hiszpanów erotyczne pożądanie permanentnie wisi w powietrzu.

Jako się rzekło, sfera seksu nie jest dla nich przedmiotem tabu, terenem dla okazywania postaw pruderyjnych czy jakichkolwiek zahamowań. Przeciętny Hiszpan ma zakodowane w świadomości, że ludzie kochają się kochać. Stąd także bardzo niewielka w Hiszpanii liczba przestępstw na tle seksualnym; jeśli trafiają się tam zbrodnie, są to najczęściej ofiary wstrzeźliwości, przez całe życie praktykowanej z żelazną konsekwencją — ludzie, których od dziecka ostrzegano przed zgubnymi następstwami cielesnych występków, nieszczęśnicy należący do grupy absolwentów jakiejś angielskiej, purytańskiej szkoły prywatnej.

Hiszpanie nie oszczędzają się w dziedzinie życia erotycznego, otwarcie wychodząc naprzeciw potrzebom własnego ciała, co traktują jako postępowanie naturalne i całkowicie logiczne. A także — jako jeszcze jedną formę zażywania radości życia.

Kościół katolicki przestał już pełnić w Hiszpanii rolę czynika studzącego erotyczny zapal jej mieszkańców. Nakazy i ostrzeżenia Watykanu są powszechnie ignorowane, a w niejednej zabitej deskami, cywilizacyjnie opóźnionej wiosce parafianie sami zachęcają proboszcza, by znalazł sobie nieformalną towarzyszkę życia, chcą bowiem spać spokojnie, gdy ich córki idą do spowiedzi.

Obyczaj prawienia komplementów i pochlebstw, zwany *piropear*, jest ulubionym chwytem co wytworniejszych podstarzałych *caballeros* (dżentelmenów). Hiszpanki są wytrawnymi „biorczyniami” owych miłych słówek, a wszyscy bez wyjąt-